# ROZMAITOŚCI.

W Sobotę Nro. 123. 26. Października 1822.

## Drugi Ustęp
z romansu Adama Kasperowskiego:
### »Cierpienia Albina.«

Jak wszystko obumarło, wiatr zimny nagie kołysze iuż gałązki, liście pożółkły, zbielały, — zawcześnie zima wszystko smutną przyodziała barwą. Tam, gdzie w lecie morze ciężkich kłosów buiało, i błękit niewinnych kwiateczków przystraiał żyzne niwy, dziś ścierń tylko naieżona sterczy, a oschłe źdźbła trawy nie daią żywienia. Spełzła stroyna zieloność na łąkach, pobladły iuż i poziome kwiaty, krzaki dzikiéy róży kolcami naieżone, nie nęcą swym zczernionym kolorem, oset sam teraz kolące główki podnosi, i w rozpadniętych wnętrznościach senne otwiéra nasienia. — Owoc doyrzały od swoiéy oddzielon matki, dawno iuż w rękach ludzi wyprasza się z życiem. Tarń tylko iedna kwitnie, i swoiém doyrzewaniem wesołość w naturze zamyka. Przestały iuż zapłużne głosy, lud się więcéy nie wiie po polu — burza północna co ich rozpłoszyła, miecie teraz opadłym liściem, przygina burzan do ziemi, i suche łamiąc gałęzie, łoskotem życie w naturze przeraża. Ten wiatr, co drzewa w przeźroczyste zamienił skiélety, ziębi młode krzewy, i słabym robaczkom mieszkanie zasklepia. Młodociane drzewa swoiém skrzypieniem bliski zgon wróżąc ięczą, wołaią litości, by dłużéy żyć ieszcze mogły. Stare krzewiste dęby stoią nieporuszone, i bronią się liczną i iądrną drużyną gałęzi, by w doyrzałym iuż wieku i w poważnéy postaci nie uległy przemocy. Lecz nic nie zwalczyło rozhukaney woli wiatru, przelatywał kilkakrotnie w rozdętym pędzie po całéy okolicy, trwożył i łaskawił naprzemian, bez względu na opór i boiaźń, a nakoniec silnym podmuchem rozpędzon, wpadł, złamał, i daléy iuż swoię srogość powiał. Oto wielkość wspaniałego dębu, nie zdołała się oprzeć przemocy, i z ogromnym łoskotem spadaiąc, leży teraz u stóp własnych dzieci, czas przeznaczył koniec — nie stało sił do życia. Znikła iuż piękność przyrodzenia, i wdzięk zaginął całéy okolicy. Niebo często mglistém zasunięte powietrzem, kryie pogodny lazur przed nami. Szeroka poziomość kulistéy ziemi zmnieysza często oczóm swóy okrąg, i bliższe poięciu wskazuiąc granice, iakby sile dociekania taiemnic pomagać chciała. — Nie widać tych wiosek o podal, nie błyszczą się wieże odległych kościołów, echo dzwonów ledwo w przerywanym da się słyszeć dźwięku, a głos trąby pasterskiéy nie mogąc przecisnąć się w ciążącém powietrzu, nazad do swego otworu powraca. Potok tylko leniwo płynąc po pustéy dziedzinie, głośno szemrze pod nogami i żali się, że ostrość zimowéy pory niezadługo ściśnie iego koryto.

Patrzałem ia dawniéy z radością na tę okolicę. Wznosiła się moia wyobraźnia pod niebo razem z promieniami słońca, bo wszędzie obraz Elwiry wy-

)(

ryty, całą rozweselał naturę. — Teraz duchy umarłéy natury i nieme kamienie smutkiem przerażaią duszę, a skały mchu pozbawione głębie swoich przepaści na pociechę udręczeń otwiéraią. Tu w cieniu pochyłéy opoki rozmyśliwałem często nad słabą filozofiią ludzi. Lecz na cóż się przydało poznawać nasze słabości, kiedy ich sami wyleczyć nie zdołamy? bo czém więcéy się wzmaga iaka w sercu słabość, tém więcéy do mylnego przywięzuiemy się mniemania, i tych tylko pomysłów słuchamy, które naszéy słabości dogadzaią. Miłość, ta ulubiona serca zaleta, nayniebespiecznieyszą się staie dla ludzi, gdy rozum opanuie i w słabość niewyleczoną się zamieni. Człowiek w tenczas drażni wyobrażnią wszystkiém co go otacza, i wszędzie swóy obraz widzi; w niebie, na ziemi, między ludźmi, w naylichszéy krzewinie podobieństwa wyszukuie, cudzą miłością, swoię miłość karmi, w nieukontentowaniu zazdrością się nęka, w niedocieczonéy trwałości całéy natury dla siebie stałego szuka istnienia; ludzi się szczęściem niewinnych stworzeń, cieszy się ich rozkoszą, szuka żalu i tęsknoty we wszystkiém co żyie, by swóy smutek dziełąc, dłużéy przenieść zdołał.

Dzisiay słyszałem, iak ięczały pod siekiérami drzewa, iak rozwlekali włościanie gałęzie dwusetnego dębu, by wkrótce ogniem strawionego, cienia bytu nie było. To ziele, którego burza gwałtowna złamać nie mogła, dészcz i nawalnice nie spłókały nasienia, skwar słońca cieku w żyłach nie zdołał wysuszyć, kwitło, doyrzało, a łagodny wietrzyk bronił go ieszcze uchylaiąc starannie od zdeptania moiego. Padło nakoniec ofiarą méy ręki. Zerwałem kwiat buyny, oddzieliłem listki, a wnętrzności z nasieniem w powietrze rzucaiąc, wiatróm północnym na igrzysko oddałem.

Otóż obraz ogólny życia. Jedno wcześnie czas spożywa, drugie w sile mocnieyszego ginie. Czemuż nasza miłość nie może należeć do pierwiastkowych własności natury? tak, iak ten ruch ogólny, w którym wiek po wieku spływa, lata swoię liczbę zmieniaią, lato zimy się obawia, zima wiosny czeka, a niebo i ziemia nie zmieniaiąc swego przeznaczenia, wiecznemu tylko podlegaią prawu. Czemuż natura naszą miłość razem z nami do tego nie włączyła składu? by wiecznie pozostaiąc w świecie, i nasze ciała wieczném obdarzyła życiem. — Te ciche skały i góry, od wieków stoią nieporuszone; ten wielki bałwan wody z szumem spadaiąc w doliny, wieczną w tém mieyscu zapowiada bytność, zieloność kolczastéy drzewiny nigdy nie ustaie, ani żadnéy nie podpada zmianie. Lecz miłość nasza nieszczęściami przerywana, albo w omdlałych siłach nie działa, albo w zbytku usiłowania się niszczy.

## Blondyn z Namiur.

( *Ciąg dalszy.* )

### Odkrycie Skarbu.

Chaldeyczyk przez całą drogę był ten iednaki; równie zaufany w sobie, równie w mowie nadęty, iak za pierwszą razą. W zamkniętym poieździe i z zasuniętemi firankami iechali spiesznie, co kilka dni przemieniaiąc rozstawione konie. Powietrze było mgliste, dészcz lał nieustannie; iedli nawet i pili w poieździe; niezatrzymuiąc się nigdzie. Wieczorem gdy się iuż zciemniało, stanęli przed domem leśniczego, w gęstym lesie. Jakiś gaiowy w bardzo przetartych sukniach wyszedł naprzeciwko podróżnych, i zaprowadził ich do pokoiu, w którym większa część szyb była potłuczona i zakleiona papierem, po ścianach wisiały kawałki przebutwiałego obicia. zaledwie wysiedli, gaiowy wzniecił ogień na kominku. Służący Chaldeyczyka przynieśli wino i pasztet na zimno, gdy tymczasem gaiowy z pachołkiem kładli na sianie materace i przygotowali dwa posłania.

»Będziemyż tu nocować?« zapytał się Blondyn, i spoyrzał z obawą w około siebie, bo mu ta gospoda wcale się nie podobała.

»O dziesięć kroków z tąd, leżą ruiny miasta Valerien des Anges. Nie prędzéy ani poźniéy, ale o saméy północy musiémy tam stanąć. Usiądźmy tymczasem przy tym ciepłym kominku, piymy i rozgrzeymy się trochę.«

Blondyna przeszyła na wskróś zimna dreszcz. Wszystkie okropne powieści o osobliwszych ziawiskach przy dobywaniu skarbów stanęły mu razem w pamięci, i prawie mimowolnie spytał się Abubekira: »Doczekamyż i my podobnych wypadków?«

Chaldeyczyk wstrząsnął głową i rzekł: »Czy wierzysz w powieści mamek?«

Długi zimowy wieczór skracali sobie iak mogli winem i rozmową. Ale Blondyn częścią z powodu przeszłéy nocy bezsennie strawionéy, a więcéy ieszcze podróżą mocno był znużony. Chaldeyczyk dokładał wszelkich usiłowań, ażeby go ozdobnemi powieściami rozerwać.

Gdy iuż zbliżała się północ, twarz i postać Chaldeyczyka stała się poważnieyszą, a dostrzegłszy, iż le Blond był iuż mocno zaspany, stanął przed nim i zapytał się głosem uroczystym: »Przyznay się, nie powiedziałżeś mi żadnego fałszu; mogłoby się nam oboygu stać szkodliwém w zwaliskach.«

»Daię słowo honoru,« odpowiedział Blondyn, »iż prócz powieści o wexlach. —«

»I to iuż było źle. Skłonność twoia do snu, w chwili tak ważnéy o losie całego życia rozstrzygaiącéy, iest mi podeyrzaną. Widziałem iuż podobne zdarzenie, że pewien jegomość podobnież iak my szukaiący skarbu, znalazłszy go wpadł w czterotygodniowy letarg.«

»Ah! to musiał być przypadek okropny.«

»Dla spiącego nie był tak przykrym iak się zdawać może, bo przez cały letarg miał nayżywsze i naysłodsze sny w świecie, i radby był nigdy się nie przebudzać; ale dla mnie był ten wypadek strasznie nudnym, bo musiałem przez cały ten czas doglądać go, leczyć i czekać, aż się obudzi.«

»Ależ skarb wydobyliście przecie;« spytał się Blondyn.

Chaldeyczyk nic na to nie odpowiedział, spoyrzał tylko na zégarek, dał znak Blondynowi, aby szedł za nim w milczeniu. Zstąpili z ciasnych i wąskich schodów. Blondyn szedł za starcem, ale tak zaspany, że zaledwie wiedział co czyni. Szli długi kawał przez las aż do zwalisk muru zapadłego. Chaldeyczyk pokazał Blondynowi, że tu skarb leży. Gdy przy świetle ukrytéy latarni Chaldeyczyk czytał iakąś książkę, Blondyn rozparł się wygodnie na murze. Chaldeyczyk czytał ieszcze, gdy iuż Blondyn zasnął snem głębokim.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## O Słoniu.

*(Ciąg dalszy.)*

Razu iednego do wściekłości roziuszony słoń wyłomał się z zamknięcia. Wszystko co tylko zdołało, uciekało przed postrachem przerażaiącém źwiérzem. Między innemi i ogrodniczka, która często z swoiéy budy różne iarzyny dawała przechodzącemu, w zamieszaniu i przestrachu zostawiła przed budą igraiące dziécię. Mimo swéy wściekłéy zapalczywości, wspaniały źwiérz poznaie miesce pobytu swoiéy dobrodziéyki i dziécię, uymuie ie łagodnie trąbą, i stawia lekko na dachu. — Lecz iak pomny na odebrane dobrodzieystwa, tak równie nie zapomina uraz i niedotrzymanych przyrzeczeń. Za okrucieństwa wypłaca się niekiedy surowością, za figle, figle płata.

Żołniérz ieden nie ustąpił z drogi na złość słoniowi. Obrażony źwiérz nie maiąc sposobu na razie ukarania żołniérza, odkłada to na poźniéy; staie się, że go zastał raz nad brzegiem wody siedzącego.

Cóż robi? porywa go trąbą, nurza kilkakrotnie w wodę, a śmiertelnym strachem winowaycę ukarawszy, zwolna na brzegu sadza.

W Azyi, czeladnik krawiecki ze swawoli skrapiał zawsze wodą słonia, ilekroć popod okna warsztatu do napawania był prowadzony. Słoń długo znosił tę psotę, nakoniec zniecierpliwiony, nabiéra wody w trąbę, a wściubiwszy ią oknem, zléwa swawolnika, i oddaie wet za wet.

Żołniérz ieden rzucił na słonia łupą z orzecha. Słoń zdiął łupę, a w kilka dni zoczywszy swoiego żołniérza, tąż samą łupą nań rzucił. Widziano w nim oczéwiste udowolnienie, że się tąż samą wypłacił monetą.

W Dekan, zabił słoń swego kornaka (wodziciela), który nadużyciem tyranii do wściekłości go rozgniewał. Owdowiała żona wziąwszy dwoie dzieci zbliżyła się do słonia, i w uniesieniu rozpaczy wyrzekła: »bestyio, zamordowałeś oyca, zamorduyże ieszcze mnie i tych dwie siérót!« — Po tych słowach wyrzekania, słoń bierze z naywiększą łagodnością trąbą starszego synka, i stawia go na swym grzbiecie. Tym czynem uznał go nieiako za swoiego przyszłego pana i przyrzekł posłuszeństwo, co téż i naywierniéy dotrzymał. Zdawało się iak gdyby chciał zatrzeć pamięć wyrządzonéy krzywdy.

Wielkiemu Wezyrowi Mongolskiemu Raia Daula, iadącemu na ulubionym słoniu polować, wypadła droga przez wąwoz, w którym chorych na świéże powietrze poukładano. Stróże szpitalni, zoczywszy orszak zbliżaiącego się tyrana, zemknęli. Potwór bezwzględny na ludzkość, każe kornakowi popędzać słonia; bieży napędzany, lecz przy piérwszym chorym stawa. Naboba złość wściekła porywa, każe przeto kłuć w uszy słonia. Staie się, ale skutek nie odpowiada wściekłości potworu; źwiérz bowiem szlachetny każdego zosobna chorego trąbą stawia na boku, i tak bez uszkody ciérpiących, zrobił wolne przeyście sobie i całemu orszakowi.

Indyianin ieden sprzykrzywszy sobie starą żonę, zamordował ią, a zakopawszy zwłoki w stayni, poiął młodą. Wkrótce widząc słoń swoię nową gospodynię, bierze ią, sadza przy grobie zamordowanéy, odkopuie ią natychmiast, i takim sposobem odkrywa żyiącéy okrucieństwo męża. Czyliż ten czyn nie zdaie się mieć znamienia moralnego prawie uczucia!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

## Rzeczy rozmaite.

**Z Odessy.** (*Ciąg dalszy.*) — Chociaż ludność kraiu tak iest pomieszana, i składa się to z Rossyian, to z Polaków, Multańczyków, Bulgarów, Greków i żydów, wszelako przynaymniey między posiadaczami dóbr, mowa rossyyska iest w powszechnem używaniu. Co się tycze ukształcenia, dosyć do tego nadarzaią sposobności pobliskie miasta, iako to: Odessa, Cherzon, Nikołajew, a ponieważ część większa szlachty służyła woyskowo, i razem z innymi odbywała dalekie pochody woysk rossyyskich, przeto zaszczyca się często tem roztropnem obcowaniem, iakiego w podróżach nabywamy. Niekiedy rozmawiałem z wieloma posiadaczami dóbr o kraiu, o iego teraźnieyszym stanie, iego potrzebach i nadziciach mieszkańców, i z rozkoszą przypominam sobie, z iaką znaiomością rzeczy wyrażali się o wszystkiém; znaydzie i tu tak zwanych parafiian.

Wszystko, co widziemy w tym kraiu, znamionuie nam prędkie i zdumiewaiące postępy. Nie raz, kiedy na koniu albo pieszo błądziłem po tych stepach, a wieczorem poglądałem z pagórków przy świetle zachodzącego słońca na obfitą Kuiałniku dolinę, kiedy przedemną na Odeskiéy drodze przesuwały się długie handlowe karawany, kiedy wszędzie w tey byłéy puszczy, w téy siedzibie starożytnego barbarzyństwa, widziałem życie i poruszenie, iak chętnie malowałem sobie w myślach niedaleką przyszłość tego kraiu. Na téy rozkosznéy ziemi, pod błękitnem południowem niebem, patrzałem iuż w duchu na pomnożoną ludność. Owe leżące odłogiem pagórki, na których stałem, widziałem iuż, iak w przyiemne zmieniały się winnice, a z pomiędzy ciemnozielonych lombardzkich topol, wyglądały kościelne wieże i dachy. Jest to sen tylko, ale nasze wnuki znaydą go iuż spełnionym.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Redakcyia F. Krattera. — Drukiem J. Pillera.